

Wojna światów

Jakub Wedrowycz



calibre 0.9.27

Jakub Wedrowycz

Wojna Swiatow

(na podstawie pomyslu **Andrzeja Pilipiuka**)

1.

Burza sniezna, ktora przeszla w srodku lipca nad Wojslawicami, wyrzadzila we wsi znaczne szkody. Gdzieniedzie zerwala dachy ze stodoł lub kurnikow, polamala drzewa, doszczetnie zniszczyla lsniace na polach lany zboza. Mieszkancy biadolili i biegali do kosciola, gdzie na przemian zlorzeczyli badz tez blagali Stworce o pomoc.

Po niedzielnej mszy, podczas ktorej w trakcie pelnego podnioslych slow kazania ksiadz proboszcz staral sie wyraznie powiazac niedawny kataklizm z grzesznym i nieobyczajnym zyciem niektorych mieszkancow wsi, zebrała sie przed kosciolem, wokol soltysa, grupka najbardziej niezadowolonych.

–Ksiadz racje ma, ze zle sie u nas dzieje! – grzmial najstarszy we wsi, pamietajacy jeszcze najazd pierwszych bolszewikow, Anton Horoszczuk. Jego siwa broda, pozolkla przez lata od tytoniowego dymu, podnosila sie i opadala wraz z kazdym, niezwykle glosno, wypowiedzianym przezen slowem. Horoszczuk powazanie mial we wsi od czasu, kiedy to w 1920 samego Budionnego sprzed swojej chalupy przepedzil, gdy ten na czele hordy krasnoarmiejcow pofatygowal sie do najbogatszej w Wojslawicach zagrody konie rekwirowac.

–Coraz gorzej – wtrowal mu soltys Labuda, ktory do wsi przywedrowal w 1944 na tych samych bagnetach, ktore dwadziescia kilka lat wczesniej przepedzal Horoszczuk. Soltysem zostal jednak dopiero niedawno, gdy rozwiazano pegeery. Wtedy tez zaczal co tydzien chodzic na poranna msze w niedziele, a wieczorami grywal z proboszczem w "boske".

–Ale kogo ksiadz proboszcz mial na mysli, mowiac, ze sie nieobyczajnie prowadzi? – spytal najmłodszy w calym gronie, ale i tak juz grubo ponad czterdziestoletni, Roman Kozaczko.

–Moze corke Lawrynowicza? – odpowiedzial soltys. – Baby, ktore do miasta na targ jezdzia, mowily, ze niejeden raz ja tam widzialy w drogich samochodach. Przez otwarta szybe glupie miny do nich robila...

–Eee, tam... – machnal reka Kozaczko. – Proboszcz kogo inszego musial miec na mysli. Lawrynowiczowna kurew juz byla, gdy jeszcze we wsi mieszkala. Za stodole ojca chlopow zwabiala i kiecke podkasywala...

–A ty skad to wiesz? – spytal Labuda. – Sam zes musial tam chodzic!

–Raz czy dwa przypadkiem tamtedym przechodził, to i podsłuchałem – tłumaczył się, mocno zaczerwieniony na twarzy, Kozaczko.

–Chodził, nie chodził, sprawa to nie nasza... – odezwał się wreszcie głosem biblijnego patriarchy Horoszczuk. – Prawda taka jest, że za przepędzenie Lawrynowiczowny Bog nam powinien kasze manne z nieba zesłać, a nie gradobicie. Przyczyn gniewu Bozego gdzie indziej więc szukać należy.

–Może ty co wiesz? – zwrócił się Kozaczko, z twarzy którego rumieniec wciąż jeszcze nie chciał, do Labudy. – Proboszcz czego tam przy kartach nie powiedział?

–Może i powiedział...

–Co?! – spytał chorem pozostali uczestnicy narady.

Soltys zamyslił się i dopiero po dłuższej chwili milczenia zaspokoił ciekawość zebranych.

–Tak dziwnie jakos mówił. Zrozumieć z niego do końca nie mógł. – Przerwał i wzrok swój utkwil gdzieś w oddali. – Razu pewnego, gdy karta szła mi jak nigdy wcześniej, proboszcz poderwał się ni stąd, ni zowad z fotela, talie rozsypał na stole i krzyknął: "Diabła w parafii mamy! Wilka do owczej zagrody wpuściliśmy!" Wystraszyłem się nie na żarty i pytam księżule, kogo ma na myśli, bo to oskarżenia poważne, oooj, poważne...

–A on co na to?

–Ze my dobrze wiemy, tylko oczy nam bielmem zarosły i widzieć prawdy nie chcemy.

–Powiedział, że wiemy?! – chciał się upewnić stary Anton. – ...a potem padł na fotel i zasnął jak zabity – dokonał Labuda.

–Może proboszczowi wino mszalne odrobine zaszkodziło? – spytał, stojący dotychczas w milczeniu nieco na uboczu, znany w całej wsi ze swego zamiłowania do samogonu, Ruslan Poniatowski, który nazwisko, jak mówiła legenda, zawdzięczał swojej praprababce. Nie żeby ona z księżego rodu była, ale ponoc za dziewczkę służebną przy armii księcia służyła, a jedyne, co jej po tej służbie na starość zostało, to bekart Poniatowskim od tamtego czasu zwany. – Sam miewam czasami czkawkę, zwłaszcza gdy wino nieco przeterminowane.

–A kiedyś ty, Poniatowski, wino w swoim życiu pił?! – zdenerwował się soltys, któremu znudziło się już ciągle zaprzeczanie, jakoby ksiadz proboszcz nadmierne zamiłowanie do napojów trunkowych przejawiał.

Ruslan, nie wiedząc co odpowiedzieć, schował głowę w ramiona i odszedł na bok. Pocięszal się jedynie myśla, że w nieużywanym latem piecu kaflowym udało mu się jeszcze przed baba litrowa butelkę berbeluchy schować.

–A potem już księdzal nie pytales, co miał na myśli proroctwo swoje wygłaszaljac? – spytał Anton Labuda.

–Pytałem, a jakże – odparł soltys. – Zaraz następnego dnia. Ale proboszcz niczego nie pamiętal, jakby kto nad nim czary poczynił, żeby mu pamięć do cna oczyszcic.

–Musil to być sztuczka diabelska – zawyrokoval Horoszczuk, a na wszystkich innych strach bładyl padł. – Nie inaczej!

2.

Gdy dokładnie tydzien po śnieżnej burzy nad Wojsławicami tornado przeszło i z kościelnej wieży dzwon żeliwny zerwalo, księdzal proboszcz podczas niedzielnej mszy już otwarcie o diabla, który w społeczności wiejskiej zamieszkal, mowil.

Z powiatu komisjal przyjechała, żeby straty ocenic. Przewodniczacy jej stanal nad zakopanym do połowy w ziemi dzwonem i w ten desen do proboszcza uderzył:

–Z dzwonu to wy już, dobrodzieju, pożytku żadnego mieć nie będziecie – powiedział przymilnym tonem. – Kłopot jedynie, bo na wysypisko śmieci trzeba go będzie odwiezc, a to i daleko, i drogo was transport wyniesie. Dajcie nam ten dzwon.

–A co wy z nim zrobicie? – spytał księdzal, ktorego od rana czkawka odejść nie chciała.

–My go na pomnik przetopimy i w mieście na rynku postawimy...

–A komu to pomnik chcecie wystawic? – zainteresowal się proboszcz.

–Zasłużonemu komus dla powiatu. Staroscie może...

–Przecie on sekretarzem za Gierka był, zgody na rozbudowę kościoła nie wystawil... – Księdzal stracił oddech i słowa uwieźly mu w gardle.

Na szczęście rozmowę podsłuchal krecacy się nieopodal Labuda. Ze wsi chłopów zwolal, którzy na trzy wiatry komisjal przegonili. Nie rozwiązało to jednak żadnego problemu. Diabla zidentyfikowac się nie udało, a z powiatu zgoda na wyplacenie odszkodowan dla mieszkancow Wojsławic nigdy już nie nadeszła.

"O kataklizmie, jak twierdzicie, mowy być nie może – napisano w oficjalnym liście skierowanym do soltysa. – Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej żadnej burzy

snieznej ani tornada w tym rejonie nie stwierdził..." – I co dobrodziej na to? – spytał Labuda przy kartach, wymachując proboszczowi listem przed nosem.

Ksiadz usmiechnal sie tylko leciutko pod nosem.

–Ze racje mam, w tym mnie to utwierdza – odparl enigmatycznie.

–O jakiej ksiadz racji mowi?

–Ze sztuczka to diabelska byc musi, skoro nawet urzad panstwowy niczego sie nie doszukal.

–Moze to i diabel... – stwierdzil soltys. – Ale gdzie go w takim razie szukac?

–Miedzy soba szukajcie. Miedzy soba... – odpowiedzial slabnacym glosem proboszcz i chwile pozniej, zmeczony, zasnal na obitym skora fotelu.

Labuda, nie trwoniac czasu, natychmiast do starego Antona sie udal. Zapukal trzy razy w okiennice, bo pora pozna juz byla i pewnosc mial, ze walenia w drzwi Horoszczuk nie dosluszly. Pierwsza obudzila sie stara Antonowa.

–Kto tam po nocy spac nie daje? – zapytala.

–To ja, Labuda.

–Czego chcecie?

–Ze starym waszym porozmawiac.

–Przecie on spi o tej porze.

–Od ksiedza proboszcza wracam. – Nie dawal za wygrana soltys.

–I co z tego?

–Ksiadz proroctwo kolejne mial. I o diable mowil...

–O diable, rzekliscie, soltysie?

–O diable! – potwierdzil Labuda.

–Poczekajcie wiec – odparla kobieta. – Sprobuje dobudzic starego. Do drzwi idzcie i czekajcie.

Labuda czekal pietnascie minut, nim otworzyl mu, ubrany w same gacie do kolan, siwobrody Horoszczuk. Gdy tylko siedli przy stole, Antonowa wystawila butle

samogonu i rozlala metnawy plyn do dwoch, mocno przybrudzonych, musztardowek.

Soltys strescil Horoszczukowi swoja rozmowe z proboszczem.

–"Miedzy soba szukajcie", mial powiedziec ksiadz dobrodziej?...

–Nie mial powiedziec, ale tak wlasnie powiedzial – poprawil go Labuda.

–I ani slowa wiecej?...

–Ani, ani. Znow padl na fotel, jakby jaka sila wroga moc mu calkowita odebrala.

Stara Antonowa, przysluchujaca sie rozmowie w kacie pokoju, przezegnala sie odruchowo i splunela przez ramie trzy razy, na sciane.

–Moze jutro z rana ksiedza spytac powinniśmy, o kogo konkretnie mu sie rozchodzi... – zaproponowal Anton.

–Darmo tylko strzepic jezyk bedziemy. Raniutko proboszcz pamietac juz o niczym nie bedzie – zaprotestowal Labuda. – To drugie ostrzezenie, jakie nam dal. Czekać juz nie ma na co. Trza sprawe wziac we wlasne rece i diabla po nocy, chocby ze swieczka, szukac.

–Ale gdzie?

–Gdzie diabel, tam i zapach siarki byc musi...

–Toz z Jakubowej chaty siarka cuchnie jak z fabryki zapalek! – wtracila Horoszczukowa i dla pewnosci raz jeszcze przez ramie splunela.

–Nie moze byc – stwierdzil siwobrody. – Wedrowycz jest kanalia, znam go przecie od lat, ale zeby z diablem paktowal, pierwsze slysze.

–A ja wam mowie, ze wasza stara wiele racji ma w tym, co gada! – zagrzmiel Labuda, ktory na Wedrowyczna parol zagial w starych jeszcze czasach, gdy Jakub do kolchozu zapisac sie nie chcial i po wsi rozpowiadal, ze Labuda to w kozach i owcach bardziej gustuje, nizli w dziewczkach. Udowodnic nikt nikomu nic nie udowodnil, ale prawda taka jest po dzis dzien, ze Labuda ni zony, ni nawet dzieci nieslubnych sie nie doczekal.

Zamyslil sie Horoszczuk i rzekl:

–Krzywdy chlopu nie zrobimy, jesli wybierzemy sie do niego z rana, by szczerze pogadac...

–Pogadac!? – nie dowierzal wlasnym uszom soltys. – Wiadro wody swieconej mu

na leb wylac trzeba, kiedy on sam diabel. Niech sie spali w swietej posoce!

Horoszczuk, na ostudzenie rozpalonych glow, dolal jeszcze po szklanicy bimbru. Kiedy wypili, odbilo mu sie glosno, a Labuda powiedzial:

Na zdrowie!

3.

Jakuba obudzilo przeczucie. Czul, ze cos sie dzieje, choc pojecia nie mial najmniejszego, co to moze byc. Z trudem zwlokl sie z barlogu, odchrzaknal zielona flegma na podloge tak mocno, az mu w jednej chwili swiat caly zawirowal w glowie.

–Ki diabel pic mi to kazal – mruknal do siebie pod nosem. – Ale mocne paskudztwo! We wsi niewielu chetnych na to znajde. Do miasta trza bedzie jezdzic i ruskim zamiast denaturatu wciskac... – biegalo mu po glowie, w ktorej wciaz odczuwal ogromny metlik.

Pod sciana na wyrze wiercil sie ktos niespokojnie.

Jesli ma sny tak paskudne, jak to, co ze soba przywlokl, to mu wspolczuje – stwierdzil Wedrowycz. A ze zrobilo mu sie duszno, postanowil wyjsc na podworze.

Gdy tylko otworzyl drzwi, przywitaly go zlowrogie spojrzenia mieszkancow Wojslawic. Staneli polkolem wokol sieni i nic nie mowili, tylko patrzyli. Jakub na moment zamknal oczy, majac nadzieje, ze gdy otworzy je ponownie, zwidy znikna. Ale nie znikly; co wiecej: ich twarze staly sie jeszcze bardziej zaciete. Rozpoznal Labude, dzierzacego w lewej rece sierp, i starego Horoszczuka, ktory pod dluga siwa broda skrywal kindzal, jaki mu w 43-cim ofiarowal sluzacy w Wafen-SS Tatar z Kazania za to, ze Budionnego ze wsi przegonil.

–Przyjaciele, czy wy tu naprawde w gosci do mnie zaszliscie, czy tez jedynie omamem jestescie, jak te, nie przymierzajac, myszki biale? – spytal, najgrzeczniej jak potrafil, Wedrowycz.

–Myszek ty swych ulubionych wiecej mozesz juz nie zobaczyc, Jakubie! – krzyknal don Labuda.

Pies cie tracal, czerwono zarazo – pomyslal o soltysie Wedrowycz; duzo bardziej martwila go obecność w tym gronie starego Horoszczuka.

–I ty, Antonie, mego wroga z siebie robisz? – zwrocil sie do wiejskiego patriarchy egzorcysta.

Horoszczuk słowa nie powiedział, jeno mocno wciągnął powietrze do nosa.

–I co? i co? – spytał "młody" Kozaczko, podskakując z nerwow na jednej nodze.

–Prawde rzekła moja stara – zawyrokował Anton. – Siarke czuć!

Pomruk nienawisci przetoczył się przez zebrany przed chatą Wedrowycza tłumek.

Powariowali od rana, czy co? – zamyslił się Jakub. – Albo to ze mna jest już tak źle... – Postanowił jednak negocjować. Najbardziej upoważniona osoba wydał mu się z tamtej strony Horoszczuk.

–Antonie – zaczął przymilnie Wedrowycz. – Powiedzże ty mi, co was do mnie naprawdę sprowadza.

–Po prawdzie – odparł starzec, starszy jeszcze od samego Jakuba – to my cie ubić przyszli.

Jakubem zatrzęsło.

–Ubić?! – ryknął na całe gardło, aż się świny w chlewie przebudziły i, równie mocno jak Jakub wystraszone, chrzakać zaczęły. – A czym ja się tak wszystkim wam naraziłem?

–Siarka z twojej chalupy cuchnie?

–Cuchnie – przyznał Wedrowycz.

–Choc cała wieś najpierw burza śnieżna, a potem tornado spustoszyło, z twojej chalupy, mimo że najmniejsza we wsi, nawet strzecha nie spadła...

–Nie spadła – odparł Jakub z zadowoleniem.

–I chcesz nam wmówić, że nie wiesz, co to wszystko znaczy? – zapytał Horoszczuk.

–Wiem! A jakże inaczej?!

Widząc zadowolona twarz Wedrowycza, Labuda machnął mu sierpem przed nosem. Niewiele brakowało, by i Kozaczko rzucił się na starego z piściami. Jednakże Horoszczuk podniósł do góry rękę, na znak, by wszyscy, jak jeden mąż, ucichli.

–To znaczy, że ty z diabłem pakt podpisał – wyjaśnił Jakubowi Anton. – Ksiądz proboszcz miał widzenie.

–Niech więcej tego miastowego smiecia pije, a jeszcze głupsze będzie miał proroctwa.

–Ty na ksiedza dobrodzieja nie pluj, Wedrowycz, bo ci kosci porachujem – zagroził Labuda, tym razem jednak chowając sierp za plecami.

Horoszczuk postąpił krok naprzód i stanął teraz twarzą w twarz z Wedrowyczem. Jego siwa broda niemal dotykała koszuli Jakuba. Staruszkowie wadzili się wzrokiem, kto silniejszy.

–Musisz prawdę powiedzieć, Jakubie, bo ci chatę z dymem chłopy puszcza i nawet ja ich przed tym nie powstrzymam – wyszeptał Anton tak, by go tylko Wedrowycz mógł usłyszeć.

–Nie mam ja przed wami nic do ukrycia – powiedział głośno Jakub. – Różne swinstwo w chatcie się u mnie zaległo, ale diabła tam ni ma...

–Wpuść nas więc, to sami sprawdzimy! – rozkazał Labuda.

–Ciebie bym nawet do chlewa nie wpuścił, bo byś mi świnię ochwacił!

Kozaczko w ostatniej chwili chwycił soltysa, który już z sierpem na Wedrowycza chciał pognąć.

Jakub, nie chcąc już bardziej zaognić sytuacji, przybliżył się do Antona i wprost mu do ucha wyszeptał:

–Gościa pod swój dach przyjąłem. Paskudny on trochę. Jak własne odbicie w lustrze zobaczył, wstydzi się komukolwiek na oczy pokazać. Ogniem ziele!

–Kto on zaczął?

–Chodźcie! Wam pokażę, bo śpi jeszcze...

Horoszczuk poprosił mieszkańców Wojsławic, by poczekali chwilę cierpliwie, kiedy on chatę Wedrowycza w poszukiwaniu diabła przeszukiwać będzie.

–A jeśli ty nigdy już stamtąd nie wyjdiesz? – spytał Labuda.

–Wiecie tedy, co zrobić! – odparł Anton, posyłając jednocześnie srogie spojrzenie Jakubowi.

Gdy drzwi się za Wedrowyczem zamknęły, w izbie zapanowała ciemność absolutna. Odór siarki był nie do wytrzymania.

–Jak ty tu możesz mieszkać? – spytał Horoszczuk.

–Ja już nic nie czuję – odparł Jakub, jakby na potwierdzenie swych słów pociągając nosem.

–I gdzie on jest, ten gość twój?

–Ano leży tam, pod ścianą.

Gdy oczy siwobrodego przyzwyczaiły się do ciemności, ruszył on w poprzek pokoju do wyra, gdzie skrecona boleśm nie opisania wierciła się jakaś istota.

–Chory on?

–Sny ma takie – wyjaśnił Wedrowycz. – Ziemi bimbier wyraźnie mu nie służy.

Cos obróciło się właśnie na lewy bok i ukazało Horoszczukowi swoje potworne oblicze. Starzec odruchowo cofnął się o kilka kroków i wpadł na Jakuba.

–Ladny to on nie jest – stwierdził egzorcysta.

–Co-o-o-o to?

–Dogadać się z nim nie mogę – stwierdził Jakub. – Bieda dwa tygodnie jak w jakiejś puszczy blaszanej na polu za stodołą spadł. Belkotął coś, więc zyl, no to go do chaty wzięłem.

–On ci z kosmosu spasać musiał.

–Zielony nie jest, czerwony też nie. Za dnia to się odrobine szary wydaje.

–Przywiózł coś ze sobą?

–Tylko ichni termos, a w nim berbelucha tak paskudna, że się boję, że mi wątroba do cna sparcianieje...

–Pic nie musisz – zauważył Horoszczuk.

–Kiedy to honorowa sprawa – zaprzeczył się łowca wampirów. – Ja piję z jego zapasów, on z moich. Kogo pierwszego szlag trafi, ten drugiemu planetę we władanie oddaje...

–A gdzie ta jego planeta?

–Jednej nocy palcem na niebie pokazywał, ale mnie się te wszystkie gwiazdy przed oczyma kreca...

Nagle kosmita poderwał się z łóżka i jak w transie przegalopował na trzech nogach przez pokój, przewracając po drodze stół i krzesło, tracając przy tym ogonem zawieszony na ścianie zegar z kukulką.

–Suszy go – wyjasnil Wedrowycz. – Schowajmy sie lepiej za piecem – dodal, ciagnac za soba Horoszczuka.

Zza pieca obserwowali kosmite, ktory niemal jednym lykiem oprznil dwie dwudziestolitrowe kanki najlepszego wedrowyczowego bimbru, po czym dopadl do okna, ogonem wywalil trzymajace sie juz tylko na jednym zawiasie okiennice i zaczal ziac ogniem.

–Kultury go zdazylem nauczyc – pochwalil sie Jakub.

Ziemia trzesla sie jak podczas najprawdziwszego wstrzasu, niebo natychmiast pokrylo sie ciemnymi chmurami, z ktorych lunely na Wojslawice hektolitry wody. Kosmita, zmokniety, wypadl przez otwarte okno do ogrodu.

Jakub z Antonem pochylii sie nad nim. Przybysz nie zdradzal zadnych objawow zycia.

–Musi byc czysta woda go wykonczyla – podsumowal Wedrowycz.

–Ty wiec wygrales zaklad – stwierdzil Horoszczuk, klepiac Jakuba po ramieniu.

A deszcz lal przez czterdziesti dni i nocy. 24-25 luty 2002

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-11-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/